

THE  
**WALKING DEAD**  
ZYWE TRUPY

ROBERT KIRKMAN    JAY BONANSINGA

**DROGA DO  
WOODBURY**

**TŁUMACZENIE  
BARTOSZ CZARTORYSKI**

**Kraków 2013**

*Dla Jilly (L'amore della mia vita)*

— JAY BONANSINGA

*Dla wszystkich, dzięki którym przez ostatnie lata  
mogłem udawać bardziej utalentowanego,  
niż faktycznie jestem: Charliego Adlarda,  
Cory'ego Walkera, Ryana Ottleya,  
Jasona Howarda oraz, rzecz jasna,  
pana Jaya Bonansingi.*

— ROBERT KIRKMAN

# PODZIĘKOWANIA

Specjalne podziękowania dla Roberta Kirkmana, Davida Alperta, Brendana Deneena, Nicole Sohl, Circle of Confusion, Andy'ego Cohena, Kempera Donovana i Toma Leavensa.

—JAY BONANSINGA

Dla mojego ojca, Carla Kirkmana, który nauczył mnie, jaką wartość ma praca, i pokazał, co człowiek zdolny jest osiągnąć, jeśli poświęca temu czas i wysiłek. A także dla mojego teścia, Johna Hicksa, który wsparł mnie, kiedy rzuciłem pracę i poszedłem na swoje. Zawdzięczam wiele wam obu.

—ROBERT KIRKMAN

CZĘŚĆ PIERWSZA

# Czerwony świt

*Życie boli bardziej niż śmierć*

**Jim Morrison**

# JEDEN



Żadne z nich nie słyszy kłusaczy przedzierających się przez las.

Metaliczne odgłosy towarzyszące wbijaniu namiotowych śledzi w chłodną, upartą glinę zagłuszają ich kroki. Znajdują się jeszcze jakieś pięćset jardów od polany, skryci w cieniach rzuczanych przez wysokie sosny.

Żadne z nich nie słyszy trzasków łamanych gałązek, niesionych gdzieś daleko przez północny wiatr, ani gardłowych jęków nękających pośród drzew. Żadne z nich nie czuje smrodu gnijącego mięsa i fetoru rozkładających się fekaliiów. Zapach płonącego jesiennego drewna i przejrzałych owoców unoszący się w popołudniowym powietrzu maskuje odór żywych trupów.

Przez dłuższą chwilę żaden z osadników wznoszących obozowisko nie zdaje sobie sprawy z nadciągającego niebezpieczeństwa – zajęci są stawianiem belek podporowych, których funkcję pełniły znalezione szyny kolejowe, słupy telefoniczne i porzewiałe pręty zbrojeniowe.

– Popatrz na mnie... jestem żałosna – wzdycha z rozdrażnieniem szczupła młoda kobieta z włosami związanymi w kucyk, klęcząc niezdarnie przy kawałkach rozłożonego na ziemi, upstrzonego farbą płótna.

Drży lekko w swojej przydużej bluzie z napisem „Georgia Tech” i podartych jeansach, podzwaniając przy tym starą biżuterią. Rumiana i piegowata, o długich, ciemnych włosach delikatnie zapleczionych w warkoczyki, które spływają po jej twarzy, Lilly Caul jest kłębkim nerwów; wciąż zakłada zbłąkane kosmyki za uszy lub kompulsywnie gryzie paznokcie. Niewielką dłonią ścisza mocniej trzonek młotka i raz po raz wali w główkę metalowego śledzia; obuch co rusz ześlizguje się po niej, jakby ktoś natłuścił przekłety przedmiot oliwą.

– Nic się nie dzieje, Lilly, uspokój się – mówi stojący za nią potężny mężczyzna.

– Dwulatek by sobie z tym poradził.

– Naprawdę nie musisz być dla siebie tak surowa.

– A myślisz, że mnie to bawi? – Wali jeszcze parę razy młotkiem, trzymając go oburącz, lecz nadal bez pożądanego efektu. – Tylko wkurza mnie ten cholerny śledź.

– Trzymasz za wysoko.

– Co?

– Przesuń dłoń trochę niżej, niech młotek sam pracuje.

Uderza jeszcze parę razy.

Metalowy kołek wyskakuje z ziemi, leci w górę i ląduje dziesięć stóp dalej.

– Niech to! S z ł a g! – Lilly cisza młot na ziemię, wbija w niego wzrok i wzdycha.

– Dobrze ci idzie, mała. Daj, pokażę ci.

Mężczyzna podchodzi bliżej, klęka obok niej i wyciąga rękę po młotek. Lilly reaguje niechętnie.

– Jeszcze chwila, okej? Poradzę sobie. N a p r a w d ę – nalega, a jej wąskie ramiona sztywnieją.

Łapie kolejny kołek i próbuje raz jeszcze, niezobowiązująco uderzając w główkę śledzia. Powoli grunt poddaje się naporowi, choć wciąż jest twardy niczym cement. Październik był zimny i ziemia na południe od Atlanty stwardniała.

Z jednej strony wyszło im to na dobre, glina zdążyła bowiem wyschnąć i mogli podjąć decyzję o rozbiciu tutaj tymczasowego obozowiska. Nadchodziła zima, a oni od tygodnia próbowali znaleźć odpowiednie miejsce, żeby przemyśleć parę rzeczy, odpocząć, zastanowić się nad przyszłością – o ile jeszcze jakąś m i e l i.

– Robisz to mechanicznie. – Krzepki Afroamerykanin wykonuje parę wymachów potężnym ramieniem.

Ma dłonie tak wielkie, że mógłby w nich zmieścić całą jej głowę.

– Polegasz na grawitacji i ciężarze młotka.

Lilly z wielkim wysiłkiem odrywa wzrok od jego ramion, które wędrują w górę i w dół. Nawet w jeansowej koszuli i sfatygowanym podkoszulku Josh Lee Hamilton prezentuje się imponująco. Ma posturę futbolisty – ogromne barki, umięśnione uda i mocarny kark – ale jednak jest w nim pewna delikatność. Smutne oczy o długich rzęsach i gęste brwi, wiecznie zmarszczone czoło i pogłębiające się zakola sprawiają, że roztacza wokół aurę niespodziewanej czułości.

– Nic wielkiego... widzisz? – Wykonuje jeszcze jeden zamach wyimaginowanym młotkiem, a jego wytatuowany biceps, wielki jak brzuch tucznika, podskakuje. – Rozumiesz, o co mi chodzi?

Lilly dyskretnie odwraca wzrok od ramion Josha. Za każdym razem, kiedy zaczyna się wgapić w jego mięśnie, sprężyste plecy czy szerokie bary, czuje delikatne ukłucie winy. Pomimo tego, że spędzają ze sobą sporo czasu w tym piekle, którym stała się Georgia po, jak to mówią, „Przemianie”, Lilly uważa, aby nie przekroczyć żadnej z granic intymności. Sądzi, że w tych warunkach lepiej będzie utrzymać kontakt czysto platoniczny, niczym brat z siostrą czy najlepsi przyjaciele, ale to wszystko. Panuje zaraza, więc trzeba skupić się na pilnowaniu własnego nosa. Podobne postanowienia nie powstrzymują jej jednak od obdarowywania potężnego mężczyzny zalotnymi uśmiechami, kiedy ten nazywa ją „dziewczynką” lub „laleczką”... Upewnia się też za każdym razem przed pójściem spać, moszcząc się w śpiworze, że Josh zauważy chiński symbol wytatuowany nad jej pośladkami.

Wodzi go za nos? Manipuluje nim?

Retoryczne pytania pozostają bez odpowiedzi.

Tłące się w żołądku Lilly zarzewia strachu zdołały wyrugować z niej jakiegokolwiek skrupuły i wzorce przyzwoitych międzyludzkich zachowań. Całe jej życie naznaczone było lękiem – jeszcze w liceum dorobiła się wrzodów, a podczas przerwanej habilitacji na Georgia Tech musiała przyjmować leki uspokajające. Teraz jednak uczucie niepokoju nie opuszcza jej ani na chwilę. Strach zatruwa jej sny, przyćmiewa zmysły, chwyta za serce. Sprawia, że robi to, czego nie chce.

Ściska trzonek młotka tak mocno, że żyły na jej nadgarstku drżą.

– Na B o g a, to przecież nie fizyka kwantowa! – wykrzykuje, po czym uderza wściekle w śledzia, wbijając go głęboko w ziemię.

Łapie kolejny kołek i przechodzi na drugi koniec rozpostartego na ziemi namiotu. Wbija metal w glinę, drąc przy tym materiał, i zaczyna walić szaleńczo młotkiem w śledzia, raz trafiając, a raz chybiając. Krople potu pojawiają się na jej karku i czole; uderza w kołek niczym opętana, jakby od tego zależało jej życie.

Przestaje. Oddycha ciężko, wycieńczona, ze skórą wilgotną od potu.

– No dobra... tak też można – mówi Josh, podnosząc się.

Po jego twarzy przemyka uśmiech, gdy spogląda na czekające w kolejce pół tuzina kołków.

Lilly nie odzywa się ani słowem.

Żywe trupy są coraz bliżej, zaledwie pięć minut od polany, maszerują niestrudzenie przez las.



Żaden z towarzyszy Lilly Caul – których jest niemal setka; każdy z nich niechętnie spogląda na pozostałych, choć to z nimi zmuszony jest współtworzyć coś na kształt zorganizowanej społeczności – nie zdaje sobie sprawy ze słabości miejsca, które wybrali na obozowisko.



Na pierwszy rzut oka jest doskonałe. Zielona polana położona pięćdziesiąt mil od miasta, pośród drzew, które jeszcze niedawno rodziły miliony buszli\* brzoskwiń, gruszek i jabłek rocznie. Na twardej, ubitej ziemi rośnie jedynie palusznik krwawy. Opuszczona przez właścicieli, którzy zapewne zarządzali okolicznymi sadami, polana ma wielkość boiska do piłki nożnej. Wiodą do niej kręte, żwirowe drogi, poprowadzone między ścianami rosnących gęsto sosen i dębów, które ciągną się aż do wzgórz.

Na północnym krańcu polany stoi rozległa, spalona posiadłość, której poczerniałe lukarny odcinają się na tle nieba jak skamieniałe kościotrupy; szyby wydmuchnęła z nich niedawna burza. Przez ostatnie parę miesięcy spłonęło wiele domów i farm znajdujących się na północ od Atlanty. W sierpniu, podczas pierwszych starć z chodzącymi truchłami, fala paniki przeszła przez południowe stany, całkowicie paraliżując pracę służb ratunkowych. Szpitale pękały w szwach, a potem po prostu je pozamykano, w remizach pogasły światła, a drogę międzystanową numer 85 całkowicie zablokowały jadące zewsząd auta. Ludzie stracili nadzieję – przestali gorączkowo stroić swoje radia na baterie w poszukiwaniu jakichkolwiek wiadomości i zaczęli szukać rzeczy, które pomogłyby im przeżyć, sklepów do splądrowania i miejsca, gdzie mogliby się zadekować.

Ludzie, którzy zgromadzili się w okolicy zrujnowanej posiadłości, spotkali się albo na zakurzonych bocznych drogach przecinających pola tytoniu, albo w podmiejskich centrach handlowo-usługowych w hrabstwach Pike, Lamar i Meriwether. Ich grupa składała się z osób w różnym wieku, wliczając w to ponad tuzin rodzin z małymi dziećmi, konwój rzęzących, dymiących pojazdów rósł zaś... aż zaistniała potrzeba znalezienia jakiegoś schronienia, gdzie będzie można złapać oddech.

Teraz zajmują mierzącą dwa akry kwadratowe parcelę, która powoli zaczyna przypominać istne Hooverville z czasów depresji; niektórzy

---

\* Buszel amerykański to miara objętości stosowana dla materiałów sypkich. Jeden buszel to około 35,238 litra – przyp. red.

mieszkają w samochodach, inni siadają wprost na miękkiej trawie, a jeszcze inni tłoczą się w niewielkich, porozstawianych tu i ówdzie namiotach. Nie dysponują wieloma sztukami broni palnej i kończy im się amunicja. Narzędzia ogrodnicze, sprzęt sportowy, akcesoria kuchenne – to, czego wymagało cywilizowane życie – stają się bronią.

Kilkanaście osób nadal wbija śledzie w zimną, chropowatą ziemię. Pracują wydajnie, jakby ścigali się z niewidocznym zegarem, usiłując jak najszybciej wznieść prowizoryczne, prywatne sanktuaria.

Żadne z nich nie jest jednak świadome niebezpieczeństwa, które nadciąga od strony sosen.

Jeden z osadników, wymizerowany trzydziestokilkulatek w czapczce z logo firmy John Deere i skórzanej kurtce, stoi na krańcu namiotowego miasteczka, które wyrosło na środku polany; na jego twarz pada cień rzucany przez rozpostarty materiał. Nadzoruje pracę grupki nadających nastolatków, którzy kłębią się pod wielkim namiotem:

– No dalej, panienki, włóżcie w to trochę krzepy! – dyryguje, przekrzykując dźwięk metalu uderzającego o metal, który wypełnia mroźne powietrze.

Chłopcy stawiają masywny drewniany słup, który ma służyć za maszt namiotu cyrkowego. Znaleźli go na drodze numer 85; leżał na poboczu, w rowie, zaraz obok wywróconego na bok samochodu ciężarowego z płaską platformą i wymalowanym na boku, wyblakłym już logo z twarzą klauna, z którego farba odłaziła płatami.

Liczący sobie ponad sto jardów w obwodzie, upačkany, pozadzierany namiot śmierdział pleśnią i zwierzęcym moczem, lecz mężczyzna w czapczce uznał, że będzie idealny jako miejsce wspólnych spotkań; może też służyć za magazyn, żeby zapobiec bałaganowi i stworzyć choćby namiastkę cywilizacji.

– Ej... ten słup tego nie utrzyma – narzeka jeden z nastolatków w wojskowej bluzie, leniwy chłopak imieniem Scott Moon.

Długie włosy zasłaniają mu twarz. Sapie, z ust leci mu para. Próbuje utrzymać słup razem z innymi wytatuowanymi gotami z jego liceum.

– Przestań się mazać. Utrzyma – odpowiada człowiek w czapeczce.

Nazywa się Chad Bingham – to jeden z tych, którzy do obozu dołączyli z dziećmi. Ma cztery córki: siedmiolatkę, dziewięcioletnie bliźniaczki i nastolatkę. Nieszczęśliwie ożeniony z potulną dziewczyną z Valdosty, wyrobił w sobie, tak jak i jego ojciec, uwielbienie do trzymania ludzi w ryzach. Jednak jego ojciec miał samych synów i nie musiał radzić sobie z całym tym dziewczęcym bajzlem. A już na pewno nie zamartwiał się na myśl o gnijących trupach, które czyhały na ludzkie mięso. Chad próbuje więc przejąć dowodzenie, jak przystało na samca alfa... w końcu jego tatko mawiał: „K t o ś t o m u s i z r o b i ć”. Patrzy na pracujących nastolatków.

– Trzymajcie mocno!

– Prościej nie stanie – syczy przez zaciśnięte zęby jeden z chłopców.

– Chyba t o b i e – odpowiada mu Scott Moon, usiłując stłumić chichot.

– Trzymajcie! – rozkazuje Chad.

– Co?

– Powiedziałem, żebyście trzymali to cholerstwo!

Chad wkłada metalową zawleczkę w wywiercony w drewnie otwór. Płócienne ściany łopoczą głośno na jesiennym wietrze. Chłopcy podbiegają z mniejszymi belkami podporowymi do krawędzi namiotu, który stopniowo nabiera kształtów; przez szeroki prześwit po drugiej stronie Chad widzi polanę. Patrzy na wyschnięte, pożółkłe krzewy, auta z pootwieranymi maskami, matki siedzące z dziećmi na ziemi i segregujące mizerne zbiory jeżyn oraz to, co udało się wyciągnąć z automatów ze słodyczami, na parę stojących furgonetek, gdzie załadowali swój najcenniejszy w świecie dobytek.

Na moment Chad zawiesza wzrok na potężnym, ciemnoskórym mężczyźnie, który stoi jakieś trzydzieści jardów dalej, przy północnej krawędzi polany. Trzyma się blisko Lilly Caul, jakby był jej ochroniarzem w klubie.

Chad nie zna Lilly; wie tylko, jak ma na imię, ale to wszystko. Słyszał, że jest przyjaciółką Megan. Z kolei ten koleś jest dla niego jedną

wielką niewiadomą. Przebywał w jego towarzystwie przez ostatnie parę tygodni, a nawet nie zapamiętał jego imienia. Jim? John? Jack? Na dobrą sprawę Chad nie wie zbyt wiele o tych ludziach, ale jednego jest pewien – są wystraszeni i zrozpaczeni. Aż błagają o odrobinę dyscypliny.

Chad przy każdej okazji mierzy potężnego kolesia wzrokiem. Bada. Ocenia. Nie padło ani jedno słowo, ale czuje, że rzucono wyzwanie. Wielkolud najpewniej powaliłby go w walce twarzą w twarz, ale Chad nigdy by do niej nie dopuścił. Siła przestaje mieć znaczenie, kiedy przeciwstawi się jej nabój kalibru .38, który spoczywa spokojnie w pistolecie marki Smith & Wesson, model 52, zatkniętym za szeroki pas oficerski.

Niespodziewanie nawiązuje się pomiędzy nimi nić porozumienia – patrząc w oczy oddalonego o pięćdziesiąt jardów mężczyzny, Chad od razu wie, co ten chce mu powiedzieć. Informacja przekazana za pomocą jednego spojrzenia wędruje pomiędzy nimi z prędkością błyskawicy. Lilly nadal klęczy obok czarnoskórego olbrzyma, wściekle wałąc młotkiem w metalowy kołek, lecz to nie ją widzi Chad w ciemnych, błyszczących źrenicach potężnego towarzysza i potencjalnego rywala. Łapie w mig, co się święci, a sama myśl paraliżuje jego ciało, jakby został porażony prądem.

Później obaj dojdą do tego samego wniosku, że – tak samo jak i pozostali – nie wzięli pod uwagę dwóch bardzo istotnych rzeczy. Po pierwsze: hałas towarzyszący stawianiu namiotów przez ostatnią godzinę przyciągał uwagę szwendaczy. Po drugie: miejsce, w którym się zatrzymali, miało jeden poważny mankament.

Obaj mężczyźni, niezależnie od siebie, zdają sobie sprawę, niestety zbyt późno, że naturalna bariera zapewniona przez otaczający ich las, rozciągający się aż do skraju niedalekich wzgórz, tłumi praktycznie każdy dźwięk, który niknie pomiędzy gałęziami.

Nawet orkiestra dęta mogłaby przejść przez ten gąszcz niezauważona i żaden z osadników by jej nie usłyszał, dopóki ktoś nie walnąłby talerzami przed jego nosem.



Lilly Caul nadal pozostaje w błogiej nieświadomości nadciągającego ataku – choć trupy zbliżają się do niej szybkim, chybotliwym krokiem. Dopiero dziecięce krzyki, które nagle zastępują dźwięki walenia młotkami o metal, zwracają jej uwagę, lecz nawet wtedy nie przestaje wściekle wbijać ślady w ziemię, sądząc, że bachory po prostu wymyśliły sobie jakąś nową zabawę. Nagle Josh łapie ją za bluzę i podnosi do góry.

– Co jest...

Lilly próbuje się wyrwać. Obraca się i patrzy wielkiemu mężczyźnie w oczy.

– Lilly, musimy...

Josh nie kończy zdania, bo dostrzega ciemną postać wychodzącą zza drzew jakieś piętnaście stóp od nich. Nie ma czasu na ucieczkę, na zabranie stąd Lilly, może tylko wyrwać młotek z rąk dziewczyny i spróbować ją osłonić.

Lilly pada na ziemię. Szybko udaje jej się podnieść, choć z przerażenia krzyk więźnie jej w gardle.

Pierwszy umarłak, który, chwając się, wchodzi na polanę – wysoki, blady truposz w brudnej szpitalnej koszuli – ma oderwaną jedną rękę, a jego ścięgnięta wiją się jak robale; towarzyszą mu dwa inne stwory, mężczyzna i kobieta.

Z ich szeroko otwartych ust toczy się czarny szlam; oczy jak lśniące guziki utkwione mają w jakiś niesprecyzowany punkt. Cała trójka idzie w ich stronę charakterystycznym, konwulsyjnym krokiem, kłapiąc poczerńiałymi szczękami jak piranie. Dwadzieścia sekund później okrążają Josha, namiotowe miasteczko zaś pogrąża się w chaosie. Mężczyźni łapią za swoją prowizoryczną broń, a ci, którzy dysponują pistoletami, sięgają do kabur. Niektóre kobiety również chwytają za narzędzia – młotki, haki, widły i pokryte rdzą siekiery. Matki zabierają swoje dzieci do samochodów i kabin ciężarówek. Spocone

dłonie blokują drzwi. Inne odciągają kurki i przygotowują broń do strzału. O dziwo, nie słychać wielu krzyków – głównie dzieci i kilka starszych kobiet, którym doskwiera już sędziwy wiek – i szybko formuje się pierwsza linia grupy uderzeniowej lub, jak kto woli, prowizorycznej policji. Pełne zaskoczenia wrzaski zostają zastąpione przez wzajemne nawoływania do obrony, a obrzydzenie i wściekłość pchają do działania.

Nie jest to dla nich pierwszozna. Z każdego takiego spotkania wyciągali wnioski. Niektórzy mężczyźni formują szyk przy krawędziach polany, spokojnie unosząc młotki, ładując strzelby, podnosząc lufy skradzionych z gablot pistoletów lub starych, rodzinnych rewolwerów. Pierwsza kula wylatuje z Rugera kalibru .22; nie jest to potężna broń, ale celna i łatwa w obsłudze. Rozlega się suchy trzask. Czaszka stojącej trzydzieści jardów dalej martwej kobiety rozpada się na kawałki.

Trup pada na ziemię tuż przed linią drzew; bryzga gęsty płyn mózgowo-rdzeniowy, oblewając leżące już zwłoki. Mija siedemnasta sekunda ataku. Po dwudziestej wszystko nabierze tempa.

Na północnym krańcu polany Lilly Caul jest ledwie świadoma tego, co się dzieje. Porusza się ociężale, idzie na palcach jak lunatyczka. Kontrolę nad jej ruchami przejmuje instynkt; b e z w o l n i e odsuwa się od Josha, którego otaczają trzy truchła. Ma tylko młotek, żadnej innej broni. A czyhają na niego pełne poczerńiałych zębów mordy.

Rzuca się na najbliższego zombie. Reszta obozu jest w rozsypce, i musi radzić sobie sam. Josh wbija ostrzejszy koniec młotka w skroń Szpitalnej Koszuli. Trzask towarzyszący uderzeniu przypomina kruszenie lodu. Tkanka mózgowa tryska w górę, wypchnięta z młazszczącym odgłosem przez uwolnione ciśnienie; w powietrzu unosi się odór rozkładu i były pacjent któregoś z okolicznych szpitali uderza o ziemię. Młotek nadal tkwi w jego głowie. Ogromne ręce Josha pozostają puste. Trupy zbliżają się o kolejne kilka kroków.

Pozostali osadnicy rozbiegają się po polanie. Na jej drugim końcu, tuż przy drzewach, Chad sięga po swój pistolet, celuje i strzela, trafiając prosto w oczodół tyczkowatego staruszka, któremu brak dolnej

szczęki. Trup wiruje w geriatrycznym piruecie, otoczony mgiełką płynów gnilnych, i pada na wznak w zarośla.

Za sznurem zaparkowanych samochodów wyje przybita do dębu martwa kobieta; ktoś przeszył ją namiotową rurką. Na wschodnim krańcu polany ostrze siekiery wchodzi w rozkładający się czerep jak w masło; rozcięta czaszka przypomina rozłupany owoc granatu. Za ledwie kilka jardów od tego miejsca górna połowa ciała niedawnego biznesmena, teraz chodzącego trupa, zostaje dosłownie zmieciona potężnym wystrzałem z dwururki; podmuch wzbija w powietrze leżące na ziemi liście.

Lilly Caul – nadal próbując odejść jak najdalej od walczącego z zombie Josha – kuli się i trzęsie, przerażona makabrycznymi odgłosami. Strach rozlewa się po całym jej ciele, odbiera oddech, przejmuje władzę nad myślami.

Patrzy, jak czarnoskóry mężczyzna rzuca się na kolana i próbuje wyjąć młotek z głowy zombie, lecz dwa pozostałe kłosa zbliżają się do jego nóg czymś na kształt truchtu. Drugi młotek leży w trawie, poza zasięgiem Josha.

Lilly odwraca się i zaczyna biec przed siebie.

Kilkadziesiąt sekund później jest już bliżej środka polany, za linią namiotów, gdzie słabsi członkowie stada kryją się za skrzyniami i kartonami z żywnością, zgromadzonymi pod płachtą wzniesionego w połowie cyrkowego namiotu. Kilku osobom udało się uruchomić auta, którymi w kłębach spalin wykręcają tuż przy skulonej gromadce. Uzbrojeni mężczyźni stojący na pace odkrytej ciężarówki próbują ochronić kobiety i dzieci.

Lilly kryje się za poobijanym kufrem, usiłując złapać oddech. Zimny dreszcz przebiega po jej skórze.

Przez całą walkę siedzi przygarbiona, zakrywając sobie uszy dłońmi. Nie widzi stamtąd Josha, który nadal stawia opór trupom. Mężczyźni udaje się wreszcie przekręcić trzonek młotka tkwiącego w czaszce umarlaka i wyciągnąć narzędzie w ostatniej chwili – płynnym ruchem uderza nim nadciągającego zombie. Lilly nie widzi też

wymierzonego przez Josha potężnego ciosu, który miażdży żuchwę jednego z trupów wraz z połową twarzy.

Nie widzi więc też, jak kończy się ta walka. Gnijącej kobiecie niemal udaje się wbić szerniałe siekacze w nogę Josha, lecz sekundę wcześniej jej głowa zostaje rozłupana szpadlem. Paru mężczyzn przybywa na czas z pomocą i to dzięki nim wielkoludowi udaje się ująć z życiem. Trzęsę się jednak od nadmiaru emocji i adrenaliny.

Zaledwie po trzech minutach od pojawienia się pierwszego trupa cały zgiefk milknie. Słychać już tylko cichutki szloch wystraszonych dzieci, dźwięk sączącej się z ran posoki i syk wydostających się z martwych ciał gazów.

Porzbywają się zwłok w wyschniętym korycie rzeki na północ od polany. Chad z innymi samcami alfa naliczyli dwadzieścia cztery truchła. Uporali się z taką liczbą bez większego problemu... przynajmniej tym razem.



– Jezu, Lilly, czemu po prostu nie zbierzesz się w sobie i go nie przeprosisz? – pyta młoda kobieta.

Ma na imię Megan. Siedzi na kocu rozłożonym przed cyrkowym namiotem i patrzy na nietknięte przez Lilly śniadanie. Przed momentem wstało słońce, blade i zimne.

Kolejny zwykły dzień w mieście namiotów.

Lilly siedzi przy zdezelowanej kuchence turystycznej i popija kawę rozpuszczalną z papierowego kubka; skawalone resztki liofilizowanej jajecznicy przykleiły się do obozowej patelni. Próbuje otrząsnąć się po nieprzespanej nocy; wyrzuty sumienia znowu nie dawały jej zasnąć. Na tym świecie nawet zmęczeni nie mogą liczyć na odpoczynek. Tchórze tym bardziej.

Wokół podartego namiotu cyrkowego stłoczyli się pozostali, jakby wczorajszy atak w ogóle nie miał miejsca. Ludzie wynieśli składane